

Miasto z kelnerką, która się uśmiecha tylko jeden raz

1.

Dokąd można iść z kobietą kotem i kostiumem poety schowanym w walizce? Zacząć życie jako normalny człowiek, to byłoby coś. Po drodze zrzucić zbędne atrybuty – sny, lęki, znaki. Zostawić po sobie puste miejsce. I niech to miejsce straszy.

Ale kogo ma straszyć? Mieszkańców tego miasta zajętych robieniem zakupów, kochaniem się, chodzeniem na pogrzeby? Oni mogą spać spokojnie, bo „wielu rzeczy/ nie przyjmują do wiadomości./ W ten sposób rzeczy te/ są skompromitowane./ Nie istnieją”.

Poeta odchodzi. Potem obraca się. Zawraca.

2.

Na ostatniej stronie okładki najnowszego tomiku Świetlickiego znajdują się słowa: „Co to za poezja,/ Która nie ocala/ ani człowieka,/ ani robala”. To ironiczna odpowiedź na stwierdzenie Miłosza: „Czym jest poezja, która nie ocala/ Narodów ani ludzi”. Jeśli podmiot nie wierzy w ocalającą moc poezji, dlaczego wciąż śpiewa swoje „proste piosenki”?

Być może dlatego, że poezja jest dla niego gwarantem odradzania się. Kiedyś Świetlicki pisał: „Zdzieram maszynką starość i śmierć z twarzy,/ na chwilę, na pół doby najwyżej. To jeszcze/ się okaże. Jeszcze się okaże”, teraz w podobnym tonie oznajmia: „te wszystkie/ znaki na górze i na dole powtarzają mi,/ że to nie koniec”.

Koniec nigdy nie jest ostateczny – to optymistyczna diagnoza, wizja nieustannych prób i niezaprzeczonych szans. Jednak nieco inaczej brzmi, gdy bohater dodaje: „Przeżyłem koniec./ Wiem, że się nie skończy/ nigdy ten koniec”. W kontekście zacytowanych słów relacja podmiotu i poezji okazuje się znacznie bardziej skomplikowana, o czym ciągle opowiada ten tomik.

Jak widać nieustanne umieranie i zmartwychwstawanie bywa męczące.

3.

W 2011 roku Świetlicki wydał książkę zatytułowaną *Wiersze*, obejmującą cały jego dotychczasowy dorobek. Napisał wtedy w przedmowie, iż pozycja ta jest zamknięciem pewnego etapu. Jak w związku z tym oświadczeniem traktować najnowszy tomik poety? Jako nowy początek, czy raczej jako kontynuację?

Pozornie Świetlicki pozostaje przy tych samych motywach co w poprzednich książkach

poetyckich. Nie zawiedzie się czytelnik poszukujący wierszy o miłości, samotności czy śmierci, zadowolony powinien być także ten, kto oczekuje gier słownych, żartów i ironii. Czy w takim razie wszystko zostaje po staremu?

I tak, i nie. Mam wrażenie, że to tomik o przesileniu. Ciężko ukryć fakt, iż wiekiem coraz dalej Świetlickiemu do poetów wyklętych, o których pisał w okolicach 1994 roku: „Żyję dłużej niż wszyscy młodo zmarli poeci”, a coraz bliżej do poetów, których „bunt się ustatecznił”. Pojawia się autentyczna potrzeba końca, spójności i pewności.

Obserwujemy próbę wprowadzenia zmian w dotychczasowe życie. Podmiot liryczny burzy ulice, którymi przeszedł bohater, i wznosi na nich nowe gmachy. Wszystko po to, by słyszalny stał się chichot w dekoracjach. To już nie jego miasto, jak mówi: „w tym tutaj mieście/ ja już nie jest”.

26 czerwca o szóstej rano bohater wychodzi na dworzec. Spogląda na tablicę z rozkładem jazdy i nie znajduje niczego dla siebie, brakuje celu, który mógłby stanowić pretekst do ucieczki. „W tym rozkładzie nie da się odnaleźć odpowiedniego miasta” – stwierdza. Kiedyś poczułby się pociągiem z setką wagonów, kursującym poza rozkładem, teraz „siada na granicy torów, rozdziera się”.

3 lipca akcja rozgrywa się „gdzie indziej, w kosmosie”. Pojawia się kobieta, która wyprowadza z burz i gradobić, i prowadzi go do swojego mieszkania. To jedna z tych chwil, w których chciałoby się powiedzieć: „chwilo trwaj, jesteś piękna”, ale nie mówi się nic, żeby jej nie zniszczyć. Podmiot wyznaje: „To są sekundy specjalne,/ abym miał za czym tęsknić”.

Idylla trwa przez kilka dni. 5 lipca jest gorącym dniem, można zostać w mieszkaniu, kochać się „przeciw upałowi”. 11 lipca nad bohaterem pojawiają się chmury, zapowiedź nadchodzących zmian. Dzień później spotykamy go w „cudzej kuchni”, w środku nocy, nieświadomego zbliżającego się końca tej historii.

20 lipca znajduje się we Wrocławiu. W mieście-porcie, które staje się jego własnym na czas płonienia dekoracji. Nie zawita tu na długo – „potem się przemieszczę/ do następnego miasta, potem ruszę w kosmos,/ a za kosmosem znajdę jeszcze jedno miasto,/ już bez nazwy,/ z maleńkim stoliczkiem,/ z jedynym tylko krzeselkiem, jedną filiżanką, z jasną kelnerką, która się uśmiechnie/ jeden raz”.

21 lipca, po jednoosobowej kawie i jednoosobowych scrabblach, przegranych i wygranych, podmiot wyznaje, że wołałby, by dziś się jednak nie wydarzyło „ostateczne”, a trzy dni później ucieka z Wrocławia bez żadnego konkretnego powodu, jedynie ze względu na niejasne poczucie zagrożenia.

Wraca do Gotham. Wraca do Krakowa.

Przedostatniego dnia lipca podsumowuje wakacje jako pobyt w „traumie,/ wakacje w tiurmie, w trumnie”. Po powrocie czeka ciężka praca – ponowne „powodu do życia struganie”.

Wyrazem zmian jest przeprowadzka. Jak sam deklaruje – staje się odważny i zasypia spokojnie, wsłuchując się w ciszę. W nowym miejscu mieszka dopiero trzy tygodnie i jeszcze nie boi, ponieważ nie ma związanej z nim przeszłości (ani przyszłości). I nawet duch, który otwiera i zamyka okna, nie wprawia go póki co w przerażenie. „To jest/ bardzo niegroźny figiel. Mały żarcik./ To jest/ dość niejasna odpowiedź, niejasna zapowiedź”.

Historia zawarta w wierszach tytułowanych datami kończy się 5 listopada. Choć podmiot wrócił, miasto nie jest już jego. Teraz tylko spaceruje w nim, robi zakupy, mieszka. W ostatnim wersie pada pytanie: „co pojutrze będzie?”, zupełnie tak, jakby bohater oddawał także swój los w cudze ręce.

Czy rewolucja się udała? Wystarczy spojrzeć na pierwszy w tomie wiersz *Przedwiośnie*. Jest wiosna, a wraz z nią szansa na odrodzenie – ale przed wiosną idzie śmierć, śmierć ją wyprzedza, dlatego każda próba wprowadzenia zmian jest z góry skazana na klęskę, ma w sobie zalążek porażki. Trup w bałwanie z drugiego wiersza w tomie w przedostatnim utworze okazuje się samym podmiotem lirycznym. Aż chce się zapytać: „Ten trup, którego zasadziłeś zeszłego roku w ogrodzie,/ Czy zaczął już kiełkować? W tym roku czy będzie kwitł?/ Przymrozek nie zaszkodził?”.

Proces odradzania się i umierania jest wpisany u Świetlickiego w cykl przyrody. Zima jest czasem śmierci, lecz także zanikania, chowania się, odpoczynku, czystości, lato czasem życia, przemieszczania się, miłości i melancholii.

Świetlicki znajduje wyjście z błędnego koła. Poddaje się, odgrywa swoją rolę, całą historię biorąc tym samym w ironiczny nawias.

4.

W wierszu o wiele mówiącym tytule *Po bandzie* Świetlicki podsumowuje pełną entuzjazmu opowieść o wyjeździe, powrocie, przeprowadzce i miłości. Utwór kończy się dystychem: „Konfesje/ są prawdziwe, o ile są kłamstwem”, a zaczyna słowami: „Poezja/ nie może mi nakazać niczego, poezja/ nie może mi niczego zakazać, poezja/ łązi za mną, czasami widnieje przede mną./ Nie lubię pisać wierszy o poezji, nie jest bohaterką/ mojej bajki, ja zaledwie śpię z nią/ czasami z satysfakcją, lecz bez satysfakcji/ dość często”. Poezja okazuje się kochanką, zaś podmiot liryczny jedynie wytrawnym, starym kochankiem.

We wspomnianej już przedmowie do zbioru wierszy wydane w 2011 roku Świetlicki napisał: „Od kiedy wiem, że jestem nieśmiertelny, boję się tym bardziej. Pisanie wierszy unieśmiertelnia, ale nie uodparnia. Niestety”. Poezja daje się poznać także jako bliźniacza siostra śmierci. Źródło, z którego czerpie poeta, ale źródło z zatrutą wodą. W wierszu *She said, she said*

mówi: „to ja ci wskazałam/ wszystkie wyjścia i wejścia, ja jestem prapoczątkiem/ twojego końca”. Ma w sobie coś z fatum, sprowadza „nieprzejrzyste noce”, a za nimi „zakażone ranki”. W wierszu *Stary poeta* podmiot liryczny szuka czystej kartki – i nie znajduje.

Jedną z konsekwencji pisania wierszy jest rozbitcie wewnętrzne. W wydany w roku 1994 tomie *Schizma* znajduje się wiersz rozpoczynający się słowami: „Cały pokój jest obwieszony Marcunami”, podmiot wyznaje, iż przynajmniej „raz w tygodniu wiesza jakiegoś Marcina”.

Wtedy jeszcze miał przewagę nad sobowtórą, mógł robić „straszne miny w ich stronę”. Rozwarstwianie się było oczyszczające, a bezwolne widma pełniły funkcje kozłów ofiarnych. W opublikowanym niecałe dwadzieścia lat później wierszu *Nieczule* sytuacja ulega gruntownej zmianie. Podmiot znajduje się naprzeciw człowieka, który – jak można się domyślać – jest jego poetyckim alter ego i mówi: „Opuściłem go, całkiem się tego człowieka wyparłem (...) On trwa w wiecznym bezruchu”. Siedzący na krześle mężczyzna zyskuje status osobnej, wręcz obcej istoty, nie jest już tylko mglistym odpowiednikiem podmiotu.

W utworze *Jedność* padają znaczące słowa: „Zakłóciła się jedność między mną a mną./ Zakłóciła się, zbiegła, ukryła się w cieniu./ Pośród szepczących głosów pozostaje/ jedność rozedrgana i wątpli. Gdyż już pewna nie jest/ swego istnienia”.

5.

Utracona jedność staje się obiektem tęsknoty. Świetlicki wie jednak, że ponowne scalenie jest niemożliwe, wykonuje więc kilka gestów, które pozornie oznaczać mają nową jakość, a w rzeczywistości odsłaniają niemoc.

W tomie znajduje się osiemdziesiąt osiem wierszy, a nie jak to dotychczas bywało – czterdzieści cztery. Odrzucenie symbolicznej liczby czterdzieści i cztery jest jasnym zabiegiem. Lecz czy w obliczu przyjęcia liczby osiemdziesiąt osiem można w ogóle mówić o jakiegokolwiek realnej zmianie?

Widać także próbę powrotu do czasów dzieciństwa i młodości. Poezja mówi z wyrzutem: „kiedy byłeś chłopcem,/ to rozumiałeś więcej, teraz się uparłeś”, a bohater odpowiada: „Piszę teraz/ jak chłopiec./ Wylewa się/ ze mnie”. W utworach pojawiają się motywy baśniowe – bałwan (a w nim trup), Pinokio (a wraz z nim skrzypienie drewna jednoznaczne z płaczem oraz nos włożonym w wiatraki, specyficzny rodzaj donkiszoterii). Zdarza się także zaskakująco infantylny język: „Aleś ty uparty, upiorze kochany!”.

6.

Są w tym tomie wiersze, których wolałabym nigdy nie zobaczyć. Wolałabym, żeby Świetlicki nie pisał chłopcem. Nie przekonuje mnie trup w bałwanie (z wykrzyknikiem), a obraz Pinokia wtykającego nos tam, gdzie nie powinien, budzi raczej politowanie niż współczucie.

Pierwsza część wiersza *Upiorczywość* z uroczą apostrofą „upiorze kochany” przyprawia mnie o dreszcze. Nawet ironia nie podola takiej słodkości. Mam też pewne wątpliwości co do wartości artystycznej wiersza *Nowe życie*, w którym podmiot liryczny dokonuje optymistycznego zakupu dwunastu prezerwatyw.

Zakładam jednak, że przy podwójnej liczbie utworów może się pojawić większy margines błędu i zapominam o kłujących w oczy wierszach – może spodobają się komuś innemu – ja będę je omijać.

Jeden pozostanie w mojej pamięci jako dobry tomik, będący swoistym rozrachunkiem po wielu latach pisania poezji. Dopiero zgoda na rozbicie wewnętrzne, przyjęcie na siebie fatum, może być sposobem powrotu do utraconej jedności. Poza granicami Gotham jeszcze trudniej o utrzymanie spójnej tożsamości. Pozostaje obserwować zmiany pór roku, odgrywać pogodny dramat i marzyć o mieście z jasną kelnerką, która się uśmiecha tylko jeden raz.